

Afrodyta (Wenus)

Afrodyta nie miała ani ojca, ani matki. Mimo to nie uważała się za biedną sierotę. Pewnego bardzo pięknego poranku wyłoniła się po prostu z piany morskiej, niedaleko Cypru. Widocznie jej oczekiwano, albowiem na brzegu powitały ją Wdzięki, Uśmiechy, Igraszki, wesołe i miłe bóstewka, które odtąd pozostały w jej orszaku. Z każdym krokiem Afrodyty wyrastały pod jej stopami najcudowniejsze kwiaty. Służebnice wytarły jej ciało, namaściły wonnymi olejkami, wykręciły wilgotne włosy i ubrały. Na głowę włożyły złotą koronę, w uszy wpięły kolczyki z pereł, na piersiach zawiesiły naszyjnik ze szmaragdów. Odziały ją w koszulę tak delikatną jak mgła i w płaszcz tak barwny jak tęcza. Potem sprowadziły śliczny wózek wykładany szylkretem i zaprzęły doń gołębice. W ten sposób bogini piękności pojechała na Olimp. Za jej zjawieniem się o spiżowe ściany Dzeusowego pałacu obito się wielkie aa! wszystkich bogów, aż zazdrość ukąsiła w samo serce Herę, panią nieba, Atenę, wyniosłą królową mądrości, i inne boginie, które, szepcząc między sobą, zmawiały się, jak by poskromić tę przybłądę. Lecz nic jej nie uczyniły, albowiem wszystkich podbiła swym wdziękiem. A miała na sobie przepaskę cudowną, która sprawiała, że wszystkie serca stawały się jej uległe i posłuszne. Została boginią miłości. Lecz wprawdzie sama się zakochała i poznała tego uczucia wszystkie słodycze i wszystkie cierpienia. Wybrańcem jej serca był Adonis, piękny myśliwy. Bogini, przyzwyczajona do wygodnego życia, wstawiała skoro świt, aby towarzyszyć Adonisowi na polowaniu. Delikatne stopy krwawiła o ciernie i kamienie, jej lekkie szaty darły się wśród gąszczów leśnych. Pewnego dnia, pod cedrami na szczytach Libanu, poszarpał Adonisa dzik. Za późno przybyła bogini z pomocą. Adonis schylił głowę w jej białe ramiona i wyzionął ducha. Afrodyta poląła krew kochanka nektarem i krew czerwona zamieniła się w kwiat zwany anemonem.